

Ścieżki nauki, ścieżki historii

Józef Lityński (1928-2013) był geofizykiem, klimatologiem, profesorem Université du Québec à Trois-Rivières, działaczem polonijnym, wieloletnim prezesem Instytutu Naukowego w Kanadzie. Rozmowa odbyła się w Montrealu w 2004 roku.



Józef Lityński w swoim domu w Montrealu,
fot. Jacek Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Jest pan prezesem Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie. Mieszka pan w Montrealu, gdzie mieści się centrala, ale musi pan czuwać nad czterema oddziałami, nie tylko w Montrealu, ale i w Ottawie, Toronto i Vancouver. Instytut działa więc w całej Kanadzie, bo tak na wschodnim, jak i na zachodnim wybrzeżu.

Józef Lityński: Teoretycznie działamy w całej Kanadzie, choć z Vancouver kontakty

są utrudnione, ze względu na odległość. Z Ottawą mamy dobry kontakt. Natomiast z Toronto przez wiele lat dobrze nam się współpracowało, no ale ostatnio działalność oddziału osłabła i jesteśmy w trakcie jej uaktywniania. Dwa lata temu byłem też w Halifaxie, z nadzieją na otwarcie tam oddziału Instytutu. Przyjęty zostałem entuzjastycznie, na spotkanie przyszło ok. 40 osób, byłem więc przekonany, że oddział będzie aktywny. No, ale niestety nic z tego nie wyszło. Mimo że Halifax leży na wschodnim wybrzeżu, ale widać to też daleko.

JSG: Na czym w tej chwili polega działalność Instytutu?

JL: Główną naszą działalnością jest prowadzenie Biblioteki Polskiej im. Wandy Stachewicz w Montrealu. Poza tym, mniej więcej 3-4 razy do roku, organizujemy odczyty na różne tematy. Parę lat temu były to głównie tematy historyczne, a teraz w ramach Koła Naukowego wypowiadają się też biolodzy, lekarze, ja miałem odczyt na temat klimatu itd. W Montrealu mamy wielu polskich biologów. To jest tradycja zapoczątkowana przez jednego z członków-założycieli Instytutu, prof. W. G. Penfielda z Uniwersytetu McGill. Poza tym Instytut bierze udział w wielu akcjach, np. w programie, skierowanym do młodzieży polskiego pochodzenia z Kanady i USA „Polska w Górach Skalistych”. Co roku uczestniczymy w organizowaniu Uniwersytetu Letniego Kultury Polskiej w Rzymie. Wysyłamy tam zarówno uczestników, jak i wykładowców. Ja też miałem tam kiedyś cykl trzech wykładów historycznych. Mimo, że historia nie jest moją specjalnością zawodową, bardzo się nią interesowałem i interesuję nadal. W Montrealu, miałem cykl wykładów, trwający ok. 2 lata, na temat najnowszej historii Polski. O dziwo, cieszyły się dużą frekwencją, ludzie przychodzili regularnie, a ja na przygotowanie tych odczytów, poświęcałem więcej czasu, niż na przygotowanie wykładów uniwersyteckich. (...)

JSG: Polski Instytut Naukowy w Kanadzie powstał jeszcze podczas wojny z inicjatywy polskich intelektualistów.

JL: PIN powstał w październiku 1943. Początkowo był filią Instytutu amerykańskiego, który został rok wcześniej zorganizowany przez polskich emigrantów przybyłych do Ameryki zaraz po wybuchu wojny. Część z nich przyjeżdżała też do Kanady, niektórzy wykładali na Uniwersytecie McGill, jak np. światowej sławy historyk profesor Oskar Halecki. W Montrealu również mieszkała

duża grupa polskich uczonych, artystów, intelektualistów. Profesor Halecki i kilku jego współpracowników doszli więc do wniosku, że warto założyć kanadyjską filię tego instytutu. Dużą rolę w tworzeniu Instytutu odegrał wspomniany już neurolog prof. W. G. Penfield. Uczeni ci w większości byli członkami Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, nawet Kanadyjczyk, prof. Penfield. Dzięki wstawiennictwu tych osób, Instytut dostał lokal na Uniwersytecie McGill, skromniejszy niż mamy dziś, ale dobry na początek. Dzisiaj mamy do dyspozycji cały dom przy ulicy Peel, czyli w centrum Montrealu, przy uniwersytecie, i co jest bardzo ważne, jest to lokal darmowy.



Biblioteka powstała dzięki inicjatywie pani Wandy Stachiewicz, żony byłego szefa sztabu Armii Polskiej z 1939 roku, Wacława Stachewicza. Generał Stachewicz był internowany w Algierii czy w Maroku, i dopiero chyba w 1944 roku został zwolniony i wyjechał do Anglii. Jednak do wojska go nie wzięto, mimo że zaoferował swój udział w walce nawet jako szeregowiec. Pani Stachewiczowa

znalazła się w Kanadzie zaraz na początku wojny, tak jak i wiele innych rodzin, które zostały tu przysłane z Anglii. Jej mąż przyjechał jakiś czas po wojnie. Po przyjeździe czynnie włączył się w prace Instytutu. Biblioteką zaś cały czas zajmowała się pani Wanda, kobieta niespożytej energii. To dzięki niej biblioteka tak się rozwinęła, że dziś jest największą polską biblioteką na tym kontynencie. A my staramy się, żeby tak zostało. (...)

JSG: Odejdźmy na chwilę od Polski, jej historii i kultury. Osiągnięcia w różnych dziedzinach nauk zdobywane przez Polaków, ich wkład w naukę światową, popularyzują imię Polski. Pana dziedzina, klimatologia, ma stały wpływ na życie wszystkich mieszkańców ziemi. Wykładał pan przez szereg lat na Université du Québec a Trois-Rivières, prowadził pan badania na północy Kanady, na Madagaskarze, w Polinezji, w Afryce. Zapytam więc się pana o zagadnienie z dziedziny, w której jest pan specjalistą. Czy klimat na ziemi się oziębia, czy ociepla?

JL: Z meteorologią, jest jak z medycyną, nie ma nic pewnego, ale jest dużo argumentów, które przemawiają za ochładzaniem się klimatu. Prognozy globalnego ocieplenia powstają tylko na podstawie wyników, które się otrzymuje testując modele. Modelując cyrkulację atmosferyczną i oceaniczną, oblicza się, co będzie za rok, za 10 czy za 100 lat. Lecz jeśli model wykonany jest na podstawie dzisiejszej wiedzy, to użyty do prognozy za 10 lat jest mniej dokładny, a za 100 lat już bardzo niepewny. Tak więc, prognozy, które mówiły, że już powinno nastąpić ocieplenie, nie sprawdzają się, bo ocieplenia nie ma. Po przejściowym ociepleniu z kulminacją w 1998 roku, klimat się wyraźnie ochładza. Tak samo nie znajdują potwierdzenia prognozy, mówiące o tym, że najszybciej klimat będzie się ocieplał w obszarach podbiegunowych, dlatego, że dane dotyczące lodowców, nie są skorelowane z temperaturą. Np. w okresie tzw. małej epoki lodowcowej (od ok. 1550 do 1750 r.n.e.), na podstawie opisów wypraw na wody północne stwierdzono, że lodów było mniej niż w poprzednich epokach. Dopiero potem ilość lodów się zwiększyła. Tak więc zjawiska lodowe pojawiają się z pewnym opóźnieniem w stosunku do temperatury. Jeśli stwierdzono, że pokrywa lodowa Arktyki jest cieńsza, to nie świadczy to o globalnym ociepleniu, bo ten fakt nic nie mówi, ani o temperaturze, ani o tendencjach. Ja zrobiłem dość dokładne studium temperatury wszystkich kontynentów. Wyraźnie z niego wynika tendencja ujemna, a nie dodatnia. Na Arktyce, temperatura owszem podniosła się w latach 50., ale potem opadła. Na kanadyjskich stacjach arktycznych, przez dwa kolejne lata 1998-99 temperatura nagle wzrosła o 4 stopnie. Wtedy zwolennicy globalnego ocieplenia krzyczeli - tak, już mamy ocieplenie. No, ale w kolejnych dwóch latach temperatura spadła, też o 4 stopnie.

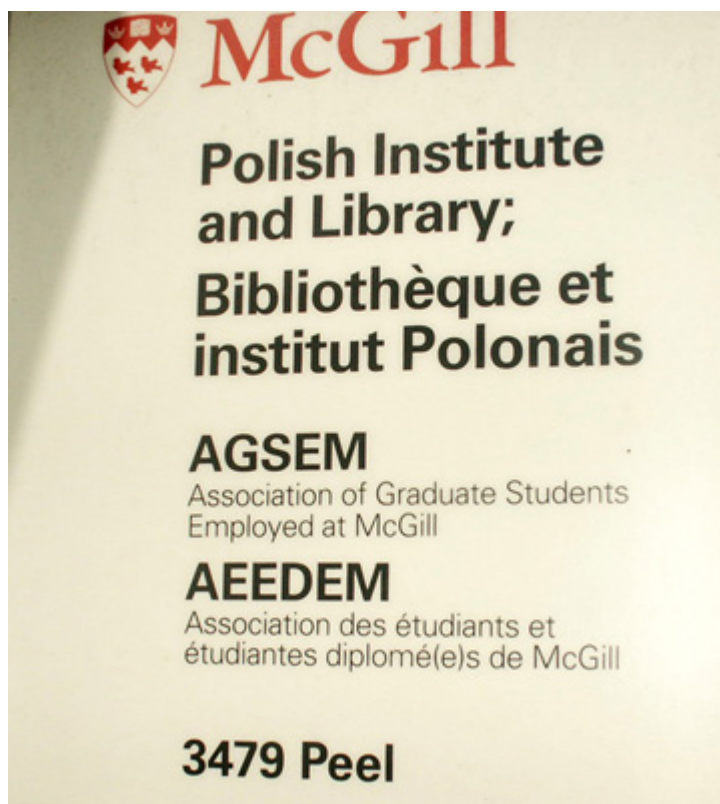
JSG: Jakie mogą być konsekwencje dla życia na ziemi, jeśli klimat się znacznie oziębi?

JL: Przed paroma miesiącami opublikowana została tzw. prognoza klimatyczna dla Pentagonu. Amerykanie jej nie ujawniali, ze względu na możliwą panikę. Ale dziennikarze ją odkryli i opublikowali w którymś z angielskich pism. Ta prognoza jest katastroficzna. Według niej w ciągu najbliższych lat ma znacznie spaść temperatura, a w wyniku tego zaczną tworzyć się lodowce. Oczywiście konsekwencje takiej zmiany klimatu byłyby dramatyczne. Ludzie zaczęliby umierać z głodu, bo ziemia, która teraz ma nadprodukcję żywności,

nagle nie rodziłaby tyle, ile trzeba. Ja jednak uważam, że kierunek prognozy jest właściwy, natomiast nie sądzę, aby to ochłodzenie nastąpiło tak nagle. Ono może być dość nagle dla Skandynawii, gdyż tam temperatura jest wyższa o ok. 15 stopni, w stosunku do temperatury na tej samej szerokości geograficznej np. W Kanadzie, ze względu na Golfstrom. Prąd ten niesie nieprawdopodobne ilości energii z obszarów tropikalnych do obszarów północnych. W przypadku, gdyby uległ on zmniejszeniu, Skandynawia by to bardzo odczuła. No i oczywiście odbiłoby się to na całej Europie. Gdyby Golfstrom się zatrzymał, w Skandynawii temperatura od razu spadnie o 5 stopni, natomiast w pozostałej Europie, o 2-3 stopnie. To wystarczy, aby na Półwyspie Skandynawskim zaczęły tworzyć się lodowce, a w reszcie Europy zima była dużo surowsza i dużo dłuższa.

JSG: Ale mówił pan, że według pana taka prognoza nie nastąpi zbyt szybko.

JL: Uważam, że nie może być tak, że pewnego dnia nagle zrobi się zimno. Chociaż są klimatolodzy, którzy tak twierdzą. Wszystkie zjawiska meteorologiczne i klimatologiczne są fluktuacjami. W naturze prawie wszędzie są ujemne sprzężenia zwrotne. To znaczy, że jeśli jakieś zjawisko wychyla się w jedną stronę, to natychmiast są uruchamiane mechanizmy, które je ściągają z powrotem. Jest tylko



kilka zjawisk, w których występują sprzężenia dodatnie, ja je nazywam katastroficznymi, gdyż jeśli się utrzymują, muszą prowadzić do katastrofy. Są to np. reakcje jądrowe. W klimatologii zidentyfikowałem trzy sprzężenia katastroficzne. Jest to temperatura i dwutlenek węgla, temperatura i para wodna oraz temperatura i tzw. albedo – czyli zdolność odbijania promieni słonecznych przy powierzchni ziemi. I tak np. jeśli zwiększy się ilość dwutlenku węgla i temperatura nieznacznie wzrośnie, to produkcja dwutlenku węgla wzrasta. Mogłoby więc dojść do katastrofy. Ale nie dochodzi. To samo jest z parą wodną, czy albedo. Tylko na pewnym odcinku sprzężenia zwrotne są pozytywne, później się kończą. Zwolennicy globalnego ocieplenia nie chcą uznać, że dwutlenek węgla powoduje ocieplenie tylko do pewnej granicy, a później sprzężenie niknie. Bo gdyby było inaczej, to dawno byśmy mieli katastrofę klimatyczną na ziemi. Widać są jakieś powody, które zatrzymują to zjawisko. W artykule, który właśnie wysłałem do Polski do publikacji, wykazuję, że dwutlenek węgla nie będzie tak się zwiększał, gdyż pochłanianie dwutlenku węgla przez system naturalny, tzn. roślinność i plankton z oceanach, jest proporcjonalne do ilości dwutlenku węgla w atmosferze. Aby więc podwoić ilość dwutlenku węgla (tak jak zwolennicy ocieplenia wykazują na modelach i mówią, że w ciągu 20 lat to nastąpi), musielibyśmy produkować 28 razy więcej dwutlenku węgla.

JSG: Na czym polegały badania, które przeprowadzał pan na Madagaskarze, w Polinezji, w Afryce...

JL: Na Madagaskarze brałem udział w programie Światowej Organizacji Meteorologicznej ochrony przed cyklonami. Spotykane tam depresje tropikalne wyrządzają wielkie szkody. Rocznie pojawia się na tym terenie średnio siedem cyklonów tropikalnych. Najwięcej jest ich na wschodnim wybrzeżu, gdyż z reguły przychodzą znad Oceanu Indyjskiego. Światowa Organizacja Meteorologiczna, na prośbę służby meteorologicznej z Madagaskaru, dała fundusze i wysłała ekspertów, aby zorganizowali ochronę przeciwko cyklonom. Ja nie jestem specjalistą od cyklonów, pojechałem jako klimatolog. W ramach tego projektu zostały wybudowane trzy stacje radarowe, postawiono japońskie radary, które określały miejsce i siłę cyklonu. Dawało to czas na ostrzeżenie odpowiednich służb. Radary prezentowały się bardzo pięknie i początkowe prace wskazywały na dobre ich funkcjonowanie. No, ale specjaliści japońscy wyjechali, radary zaczęły się psuć i nie było nikogo, kto by potrafił je naprawić. Pracował wówczas z nami świetny amerykański specjalista. Na

podstawie zdjęć satelitarnych potrafił powiedzieć, w którym miejscu powstaje cyklon, mimo, że jeszcze go tam nie było. Miejsce na zdjęciu, które wskazywał, było mniejsze niż łypek od szpilki. On nie tylko widział tworzenie się cyklonu, ale potrafił też określić siłę, z jaką cyklon przyjdzie. Tak więc automatyzacja w obserwacjach meteorologicznych jest bardzo dobra, ale musi być połączona z obsługą, która jest do dyspozycji w każdej chwili. Maszyna może pomóc, ale nie wyeliminuje człowieka.

JSG: Mówił pan o Polakach, którzy tworzyli Instytut. A jak pan się znalazł w Kanadzie?

JL: Wyjechałem najpierw do stryja, który mieszkał w Kalifornii. Oficjalnie wyjechałem z Polski na wakacje. Pracowałem wówczas na Politechnice Warszawskiej. Był to okres po wydarzeniach 1968 roku, na uczelniach w Polsce panowała bardzo zła atmosfera, zaczynały się represje. Pomyślałem więc, że jeśli uda mi się dostać paszport, to wyjadę. Jeżeli Sowieci zajmą Czechosłowację, zostanę za granicą, a jeśli nie, wrócę do Polski. Miałem wówczas 39 lat i nie chciałem się jeszcze jakieś 20 lat borykać, żeby w życiu coś osiągnąć. Wydawało mi się też, że za granicą można więcej zrobić dla Polski. Wtedy ważne było propagowanie na zachodzie idei niepodległej Polski. Natomiast w Polsce można było oczywiście pracować i to było bardzo potrzebne dla kraju, ale działalność polityczna nie była możliwa.

Po kilku miesiącach pobytu u stryja w San Raphael, zacząłem myśleć o wyjeździe do Kanady. Mimo że stryj pięknie mieszkał, ale ja źle się tam czułem, zapewne ze względu na język, bo mój angielski był słaby, natomiast dobrze mówiłem po francusku, gdyż pracowałem wcześniej przez 2 lata w Kongo Belgijskim. Nawiązałem więc kontakt z Uniwersytetami w Quebecu i dostałem zaproszenie na interview z Uniwersytetu Laval w mieście Quebec. Mimo że przyjazd do Kanady nie był taki prosty, gdyż nie chciano mi dać wizy kanadyjskiej, przez znajomych postarałem się o zaproszenie i dostałem wizę turystyczną. W międzyczasie Rosjanie zajęli Czechosłowację, zdecydowałem się więc na pozostanie za granicą. Przyjechałem do Kanady pod koniec listopada. Był to akurat taki rok, w którym zima bardzo wcześnie się zaczęła. W Quebecu leżała już stopa śniegu. - Do ładnego kraju przyjeżdżam - pomyślałem. Ale ja zimę bardzo lubię. Zawsze czekałem, żeby w Polsce były takie śniegi, jak to opisywano w książkach, z wykopanymi tunelami i przejściami. W Polsce

nigdy takiej zimy nie widziałem, więc bardzo mi się spodobało. Wtedy można było stosunkowo łatwo na stałe zostać w Kanadzie. Były to złote czasy dla emigrantów. Szybko dostałem prawo pobytu i pozwolenie na pracę, a w ciągu dwóch tygodni otrzymałem pierwsze kanadyjskie zatrudnienie - *post doctoral* na uniwersytecie Laval, na wydziale geografii. Nie jestem geografem, tylko fizykiem, magisterium zrobiłem z geofizyki, a doktorat z meteorologii i klimatologii. Geografowie mają chyba trochę kompleksów na punkcie fizyków czy matematyków, więc byli szczęśliwi, że jakiś fizyk chce u nich pracować. No, a dla mnie był to nie tylko zaszczyt, ale i możliwość normalnego życia.



Université du Québec à Trois-Rivières.

Otrzymałem kontrakt tylko na dziewięć miesięcy, do końca września. Na całe lato, od końca maja, aż do połowy sierpnia uniwersytet mnie wysłał na daleką północ Kanady, by tam prowadzić prace badawcze. To było wspaniałe, niesamowite przeżycie, tam jest na prawdę pięknie, mimo much i komarów. Zorganizowałem tam sieć lokalnych stacji meteorologicznych. Czas jednak leciał, mój kontrakt zbliżał się do końca. Jeszcze przed wyjazdem wysłałem listy ze swoją ofertą na inne uniwersytety. W połowie lipca dostałem list z Uniwersytetu w Trois-Rivières. Był to właśnie powstający uniwersytet, pierwsze wykłady miały się zacząć we wrześniu. Miałem szczęście, bo powstawało wówczas od razu kilka filii, w sumie potrzebowali

więc ok. 1000 profesorów. Zaproponowali mi pracę na wydziale geografii. Napisali, że miałbym wykładać klimatologię i... pedologię. Ta pedologia mnie przestraszyła, bo nawet nie wiedziałem, co to znaczy. Ale doszedłem do wniosku, że jeżeli będę mieć wątpliwości to zrezygnują z mojej kandydatury, więc odpisałem, że chętnie podejmę się tej pracy. W końcu i pedologii można się nauczyć.

Teraz wiem, że to jest nauka o glebie. W liście podałem, że mogę przyjechać na interview, ale tylko w określony dzień tygodnia, w środę bodajże, gdyż z dalekiej północy samolot kursował raz na tydzień. Dostałem odpowiedź, że rezygnują z interview i angażują mnie do pracy. Ponieważ mój kontrakt na Laval jeszcze obejmował wrzesień, więc przez miesiąc pracowałem na dwóch uniwersytetach. I tak się zaczęła moja kariera uniwersytecka. Na wydziale geografii na tym uniwersytecie pracowałem aż do emerytury, czyli do lata 1993 roku. Będąc już na emeryturze jeszcze przez dziewięć lat, prowadziłem wykłady zlecone z klimatologii. W ciągu pracy na uniwersytecie, miałem jeden roczny urlop bezpłatny, kiedy pracowałem dla Światowej Organizacji Meteorologicznej na Madagaskarze. A potem miałem jeszcze dwa razy rok sabatowy, pierwszy rok spędziłem we Francji i wykładałem na uniwersytecie w Aix-en-Provence, a drugi rok - w Polinezji, w Nowej Kaledonii, gdzie prowadziłem badania meteorologiczne.

JSG: Jaką uczelnię skończył pan w Polsce, skoro przygotowała pana do takiej kariery uniwersyteckiej?

JL: Zaczynałem we Wrocławiu. Pierwsze dwa lata zaliczyłem na uczelni, która się wtedy nazywała Uniwersytet i Politechnika Wrocławska (zanim jeszcze nadali jej straszną nazwę im. Bieruta). Ale jestem warszawiakiem. Z Warszawy wyjechałem tylko dlatego, że się nie mogłem dostać na studia, bo byłem „wrogiem ludu”. A byłem wielkim wrogiem ludu, gdyż mój ojciec był przed wojną pułkownikiem, i co gorsze, został za granicą. Tak więc byłem na czarnej liście i nie dostałem się, pomimo że egzaminy na Politechnikę Warszawską zdałem bardzo dobrze. Jak to przypadek czasami zmienia losy człowieka. Gdybym się dostał, byłbym inżynierem elektronikiem, bo elektronika była moim głównym zamiłowaniem, a ponieważ nie mogłem się dostać, spróbowałem na fizykę we Wrocławiu i tam się dostałem.

Po studiach pracowałem jakiś czas w Państwowym Instytucie Hydrologiczno-

Meteorologicznym w Warszawie. Następnie związałem się z Instytutem Matematyki na Politechnice Warszawskiej, najpierw jako asystent, potem wykładowca.

JSG: Czy mógłby pan opowiedzieć o swoim ojcu, pułkowniku, z powodu którego był pan „wrogiem ludu”?

JL: Przed wojną mój ojciec był dowódcą pułku, stacjonującego w Nowej Wilejce, która należała wówczas do Polski. Stacjonowały tam trzy pułki - 85 pułk strzelców wileńskich, 13 pułk kawalerii i 19 pułk artylerii. Był to jeden z większych ośrodków wojskowych w przedwojennej Polsce. Miasteczko było małe, ale koszary, oddalone o jakieś 3 km, stanowiły duży kompleks. Ja się urodziłem w Warszawie, ale mój młodszy brat urodził się w Nowej Wilejce i to akurat w dzień święta pułkowego. Odbyła się wtedy wielka była uroczystość, syn dowódcy, dostał pamiątkowy dyplom itd.



Sztandar V Dywizji Kresowej.

Potem mój ojciec był szefem sztabu Armii Poznań w 1939 roku i z tą Armią przeszedł kampanię wrześniową. Po walce nad Bzurą część armii przebiła się do Warszawy. W ostatnim tygodniu obrony Warszawy ojciec był w stolicy, a po kapitulacji dostał się do niewoli, do obozu dla oficerów w Murnau w Bawarii. Kiedy 30 kwietnia 1945 roku Amerykanie wyzwolili ten olbrzymi obóz (7 tysięcy oficerów, głównie Polacy z kampanii wrześniowej), zorganizowali transport do Włoch i większość z nich została

wcielona do II Korpusu gen. Andersa. Mój ojciec został mianowany zastępcą V Dywizji Kresowej i aż do ewakuacji do Wlk. Brytanii przebywał we Włoszech. Po przyjeździe do Anglii został kierownikiem wydziału w biurze historycznym. Początkowo biuro mieściło się przy polskim dowództwie, a gdy dowództwo zostało rozwiązane, stało się jednostką samodzielną, a pracujący tam ludzie opłacani byli ze skarbu narodowego, czyli przez rząd londyński. Ojciec prowadził referat, który opracowywał historię udziału polskich sił zbrojnych w II wojnie światowej, a w szczególności opracowywał kampanię wrześniową. Praca „Polskie siły zbrojne w II wojnie światowej”, była wydana pod redakcją mojego ojca.

Ja ojca zobaczyłem dopiero w 1957 roku, rok przed jego śmiercią. Udało mi się wyjechać na zachód po październiku 1956 roku. Dostałem wówczas po raz pierwszy paszport i na dwa miesiące pojechałem do ojca do Anglii. Mogłem wtedy zostać, ojciec mi powiedział - ja cię nie namawiam do zostania, bo tam w Polsce ludzie są potrzebni, ale jeśli byś się kiedyś zdecydował, to ja ci tutaj pomogę.

JSG: I po tym pobycie u ojca w Anglii, pan się jednak zdecydował wrócić do Polski?

JL: Wtedy zdecydowałem się na powrót. Po październiku 1956 panowała taka euforia, wydawało się, że jednak da się coś w tej Polsce zrobić. Ojciec chciał wrócić do Polski, ale zdawał sobie sprawę z tego, czym to grozi. Było mu jednak ciężko. Ja i mój brat byliśmy w Polsce, nasza matka zmarła podczas Powstania Warszawskiego. Ale ojciec cały czas miał wyrzuty sumienia, że nie wrócił do Polski. Gdy spotkaliśmy się na dworcu Victoria w Londynie, pierwsze o co zapytał to - czy uważasz, że dobrze zrobiłem? Ja na to - pewnie, przecież byś zrobił największe głupstwo jakie można zrobić, wiesz dobrze, co się stało z innymi. Płk. Białkowski mimo, że wyszedł żywy z więzienia, był w taki stanie, że na wolności żył tylko dwa miesiące, a płk. Minakowski, nasz sąsiad, który służył w lotnictwie i był ewakuowany na zachód, po powrocie został rozstrzelany. I wielu innych kolegów mojego ojca spotkało to samo.

JSG: Czy pana stryj, do którego pan przyjechał do Kalifornii, też był oficerem?

JL: Stryj był oficerem rezerwy artylerii konnej. Przed wojną pracował w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. W sierpniu 1939 roku wyjechaliśmy ze stryjem pod Stanisławów, odwiedzić babcię, która miała tam majątek. Mimo, że trwały ostatnie przygotowania do wojny, ojciec powiedział stryjowi, że to może być ostatnia

okazja, żeby zobaczyć matkę. Obiecał, że w razie gdyby już coś wiedział, przyśle telegram. Było wtedy pięknie, ciepło, wspaniałe lato. Wybieraliśmy się na wędrowkę w góry. Bardzo się cieszyłem, była to dla mnie, 10-letniego wówczas chłopca, wielka atrakcja. Nigdy wcześniej nie brałem udziału w takiej turystycznej eskapadzie. Wycieczka planowana była na niedzielę.

I akurat w tą niedzielę przyszedł telegram od mojego ojca – przyjeżdżaj natychmiast. Telegram był wysłany 26 rano, gdyż 25 Niemcy zdecydowali, że uderzą na Polskę, właśnie 26 o 5 rano. Wszystkie rozkazy były już wydane. I polski wywiad się o tym dowiedział. Jednak Hitler zdecydował się odwołać atak, gdyż o 5 po południu otrzymał trzy, bardzo niekorzystne dla niego wiadomości. Po pierwsze wywiad niemiecki doniósł, że trzy czwarte armii polskiej jest już zmobilizowanej. A Niemcy mieli zmobilizowanych dopiero połowę sił. Hitler myślał, że to wystarczy, bo polska mobilizacja będzie w lesie. Jednak mobilizacja polskiej armii, wbrew temu, co się powszechnie uważa, przebiegała bardzo sprawnie. Armia polska miała plan operacyjny, który pozwalał na zmobilizowanie trzech czwartych wszystkich sił polskich, przy pomocy tzw. mobilizacji kartkowej. Rezerwiści dostawali powołania imiennie przez pocztę. To było o tyle ważne, bo ogłaszanie mobilizacji powszechnej mogło być potraktowane tak jak wypowiedzenie wojny.

Natomiast mobilizacja kartkowa mogła być robiona w każdej chwili i bez żadnego ryzyka politycznego. To była olbrzymia praca, ale dzięki niej mobilizacja rozpoczęła się już w marcu i była przeprowadzana partiami, a od 1 sierpnia przebiegała już na dużą skalę. Oprócz tej wiadomości, Hitler otrzymał jeszcze inne złe wiadomości. Mussolini przysłał telegram, że Włochy na początku pozostaną neutralne, bo są nieprzygotowane do wojny. No i trzecia wiadomość, najgorsza, że 25 sierpnia został podpisany sojusz polsko-angielski. Była to pierwsza bezwarunkowa gwarancja, której królestwo brytyjskie kiedykolwiek udzieliło.

Tak więc Hitler się zastanawiał, czy w ogóle uderzać. Przez 6 dni obserwował zachodnich aliantów, ale już po 4 dniach zdecydował na uderzenie i wydał nowy rozkaz. Zobaczył, że alianci, zamiast ostro przygotowywać się do wojny, próbują problem rozwiązać politycznie, nawet kosztem ustępstw strony polskiej.

JSG: Czyli po telegramie pana stryj przyjechał do Polski.

JL: Natychmiast wróciliśmy do Warszawy. Stryj zgłosił się do wojska i został z powrotem skierowany do Stanisławowa, bo tam stacjonował jego pułk artylerii konnej. Potem stryj był w Anglii, w tzw. I Korpusie, który się formował w Szkocji. Z tego korpusu została zabrana I Dywizja Pancerna, która poszła walczyć na kontynent, natomiast dwie dywizje piechoty, które były formowane, ale ich tworzenie nie zostało ukończone, nie poszły na front. Te siły zapasowe były najpierw w Szkocji, potem w Anglii. Dołączył do nich II Korpus, który wrócił z Włoch. Przyszedł z nim mój ojciec. Stryj mieszkał w Anglii jeszcze kilka lat. Jak ja przyjechałem w 1957 roku, to już stryja nie było. Wyjechał najpierw do Nowego Jorku, a potem z żoną i córką przenieśli się do Kalifornii. Tak więc po latach, ja tam dojechałem i spędziłem z nimi piękne chwile. Na swoją drugą ojczyznę wybrałem jednak Kanadę i mieszkam tu do dziś.

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym” dodatku kulturalnym „Gazety” pod redakcją Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

Wystawa prac polskich artystów w Montrealu

Katarzyna Szrodt

Nareszcie Polacy byli widoczni w sztuce kanadyjskiej - POLISH ARTISTS in CANADA, Montreal, Galerie D'Arts Contemporains, 1-30 XII 2016 r.



Wystawa prac polskich artystów w Montrealu, Galerie D'Arts Contemporains, 1-30 XII 2016

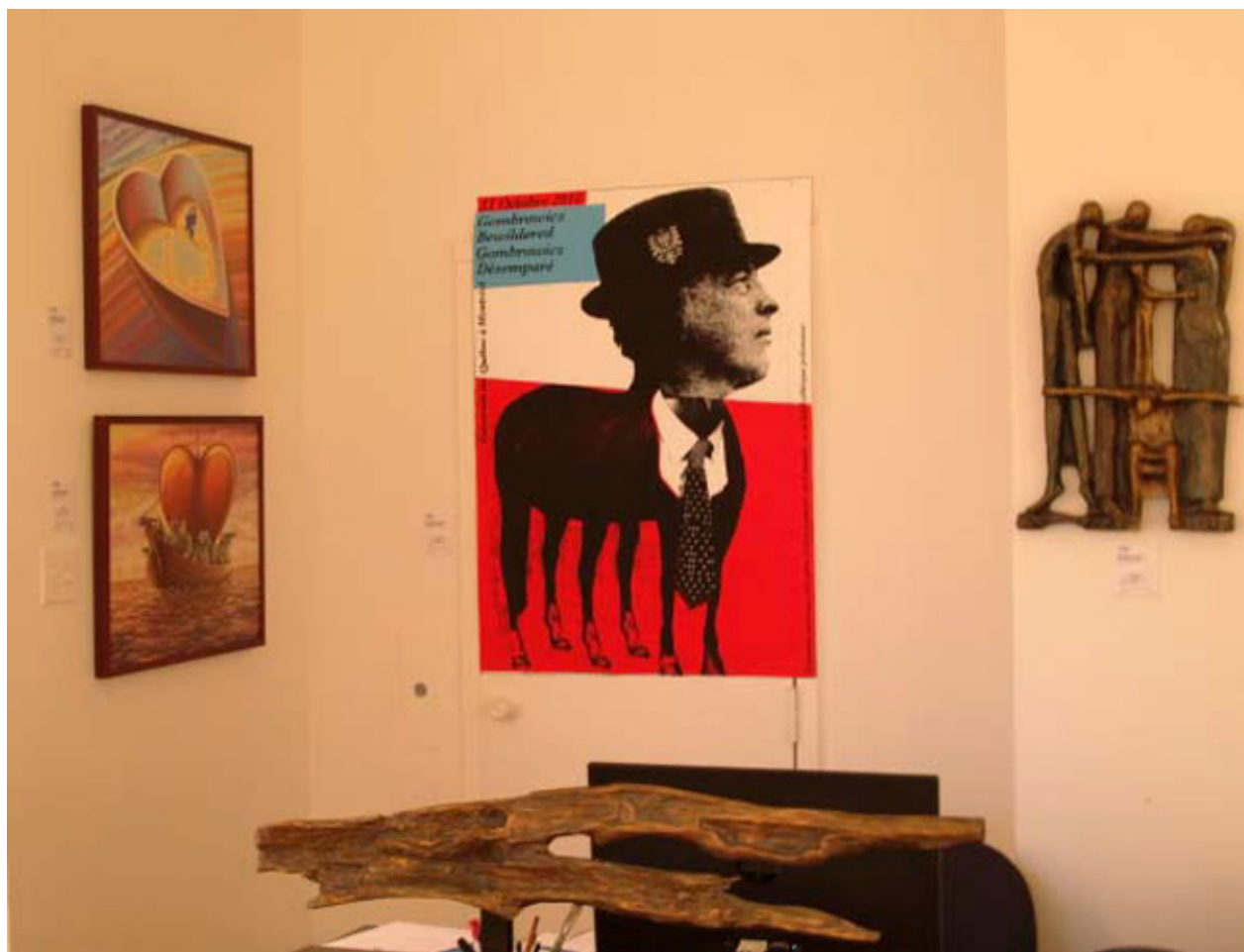
W latach 90. dzięki działalności Konsulatu Generalnego RP i Galerii Malbork, polscy artyści plastycy mieli możliwości prezentowania swojej sztuki. Nigdy tych wystaw nie było dużo i zawsze sytuacja plastyków, którzy zdecydowali się na emigrację, nie była łatwa. Emigracja jest traumatycznym procesem, a emigracja talentu graniczy z samobójstwem, gdyż jest odcięciem się od korzeni zasilających talent artysty: środowiska inspirującego, odbiorców i nabywców sztuki, mecenatu instytucji kultury. Kanada jest krajem niełatwym dla sztuki, nigdy nie była łaskawa dla sztuki i artystów – nawet artyści kanadyjscy mieli i mają trudności, by utrzymać się z pracy twórczej. Brak instytucji kultury opiekujących się artystami, brak galerii państwowych, w których artyści mogliby tanio wystawiać, wreszcie brak nabywców sztuki i uczynienie ze sztuki biznesu i komercji – to problemy istniejące w Kanadzie od dawna.

A jednak, siła talentu i chęć tworzenia są tak silne u artystów-imigrantów, że działają mimo wszystko, z uporem współtworząc ważny rozdział historii sztuki – sztuki powstałej poza granicami kraju. Ostatnim grupowym spotkaniem plastyków polskich

osiadłych w Montrealu, był zorganizowany przez Loto-Quebec w 2006 roku „Dialogue – de la Pologne au Quebec”, w którym wzięło udział dziesięciu artystów. Musiało minąć dziesięć lat, by w prestiżowej Galerie D’Arts Contemporains, usytuowanej w centrum Montrealu, specjalizującej się od ponad 30 lat w sprzedaży czołowych artystów kanadyjskich i quebeckich, od 1 XII zagościli polscy plastycy-imigranci.

Realizacja wystawy stała się możliwa dzięki mojej współpracy z Galerie D’Arts Contemporains. Fakt obronienia przeze mnie doktoratu na Uniwersytecie Warszawskim na temat: *Portret trzech pokoleń polskich artystów plastyków w Kanadzie, w latach 1939-1989*, zainspirował właściciela galerii do udostępnienia mi przestrzeni na wystawę prac polskich malarzy i rzeźbiarzy. Kluczem doboru było ukończenie wyższych studiów artystycznych w Polsce, emigracja do Kanady do 1989 roku i kontynuowanie twórczości w nowym kraju. Poza kilkoma wyjątkami, dominowała na wystawie tzw. artystyczna fala solidarnościowa lat 80. Przestrzeń galerii ograniczyła liczbę zaproszonych do dwudziestu dwóch: siedemnastu artystów z Montrealu, czterech twórców z Toronto, jedna malarka z Ottawy.

Przestronne i jasne wnętrze galerii wyeksponowało wszystkie czterdzieści pięć prac tworzących prezentację eklektyczną, różnorodną, ciekawą. Wkraczając w przestrzeń wystawy uderzała mnogość stylów i tematów, w odmiennych pracach wyczuwało się europejskiego ducha, ze względu na dominację figury nad abstrakcją, ale również ze względu na znakomity poziom artystyczny prac. Pejzaż miejski Marka Żółtaka i Jana Delikata, postaci baletnic Janusza Migacza, portrety muzyków i arlekiny Ireny Stawińskiej, ekspresjonistyczne światy Miry Reiss, portret matki Piotra Królikowskiego, satyryczne zabawy Andrzeja Pijeta – inspirując się rzeczywistością, pokazywały ją w plastycznym ujęciu.



Wystawa prac polskich artystów w Montrealu, plakat Alfreda Hałasy.

Na tle królującej w Kanadzie abstrakcji, to duże zaskoczenie dla klienteli galerii, choć polscy artyści realizują się również w abstrakcji. Małżeństwo malarzy Dorota Dylag i Piotr Królikowski pokazało swoje *semi abstracty*, będące częścią tryptyków, z których obraz „Rouge” Piotra Królikowskiego, od chwili zawieszenia wzbudzał żywe zainteresowanie. Iriko Kołodziej, malarka z Toronto przysłała swoje dwa małe „powietrzne” abstrakty „Colours of hope” i „Magic Hour”. Wiele osób zachwylił delikatny olej Marioli Nikiel „Hiver prelude”, abstrakcyjny pejzaż w bieli i szarościach. Dwie prace Reginy Czapiewskiej, malarki, której murale pokryły ściany Casino de Hall, zdradzają fascynację malarstwem naskalnym, z kolei Ewę Scheer inspiruje malowanie na lodzie i fotografowanie procesu przenikania kolorów i form w wyniku topnienia, co utrwała na fotografii, nazywając swoje prace *ice paintings*.

Na tle prac malarskich wyróżniały się dwa znakomite rysunki Adama Kołodzieja, znanego scenografa, profesora Ryerson University w Toronto oraz dwie litografie Ludmiły Armaty. Polska artystka ceniona jest w Kanadzie za swoje „sferyczne” dzieła

powstające w rzadkiej technice akwatynty. Dwójka rzeźbiarzy zaproszonych do udziału w wydarzeniu – Bożena Happach z Montrealu i Andrzej Pawłowski z Toronto, tworzą *semi abstracty* w brązie, kamieniu, drewnie, improwizując na temat ludzkiej sylwetki. Jolanta Sokalska, artystka wcześniej mieszkająca i działająca w Winnipeg, zaprezentowała kompozycje inkrustowane w szkłe i szklano-złotą biżuterię. Zbigniew Sokalski pokazał dwa *semi abstracty* „The King” i „Lonely Night” przyciągające mroczną narracją. Nie mogło zabraknąć plakatów, gdyż polska sztuka słynie, już od lat 60. z wybitnych twórców szkoły plakatu, której przedstawicielem w Montrealu jest Alfred Hałasa, plakacista i profesor UQAM University. Najmłodszymi artystami była Klara Pokrzywko i Piotr Wedzicha, którzy chętnie podjęli dialog artystyczny z pokoleniem solidarnościowym, dominującym na wystawie.



Wystawa prac polskich artystów w Montrealu, obrazy: Zbigniewa Sokalskiego, Janusza Migacza, Reginy Czapiewskiej.

Wystawa Polish Artists in Canada, pokazała aktualnie powstającą sztukę polskich artystów tworzących w Kanadzie, w całej jej wielości i rozkwicie. „Vie Des Arts”, kanadyjski magazyn sztuki, zauważył wystawę i opisał ją na swoich łamach bardzo pozytywnie. Codzienna gazeta „Metro” opublikowała obszerny tekst omawiający wystawę, pióra Natalii Wysockiej, młodej, bardzo zdolnej dziennikarki zajmującej się kulturą i sztuką. Wydarzenie zauważone przez artystyczne środowiska Kanady, nie powinno było umknąć polonijnej diasporze. Społeczeństwa istnieją dopóki istnieje ich kultura i sztuka.

Prawdopodobnie wystawa stanie się trampoliną do pokazania dokonań artystów-imigrantów w kraju. Na wernisażu padła propozycja ze strony pracownika Instytutu Adama Mickiewicza i przedstawiciela ambasady RP w Ottawie, aby z okazji obchodów 100-lecia Niepodległości Polski w 2018 roku, zorganizować w Kanadzie dużą wystawę artystów-imigrantów i następnie pokazać ją w kraju. Oby Nowy Rok spełnił te plany!

Byłaby to realizacja końcowego wniosku-życzenia mego doktoratu, aby dorobek artystyczny stworzony na emigracji, nazwany trafnie przez profesora Jana W. Sienkiewicza „sztuką w poczekalni”, został doceniony przez polskie środowiska artystyczno-naukowe w kraju i wszedł na stałe do powojennej historii sztuki.

**Louis Dudek - poeta montrealski
(1918-2001).**



Louis Dudek

Florian Śmieja

“Wkład Dudka do literatury kanadyjskiej był ogromny”, zanotował Robin Blaser. Zaden Kanadyjczyk polskiego pochodzenia nie przyczynił się do jej rozwoju bardziej od wpływowego i dynamicznego profesora uniwersytetu McGill, poety, krytyka, wydawcy i pedagoga.

Louis Dudek urodził się w ubogiej, przemysłowej dzielnicy Montrealu 6 lutego 1918 roku. Jego ojciec Wincenty przybył z Polski rok wcześniej i z powodu trudności językowych nie mógł znaleźć dobrej pracy, a matka, Stanisława Różańska, zmarła osierocając dwie córki oraz chorowitego syna, kiedy liczył osiem lat. Rodzimą tradycję kontynuowała sprowadzona z Polski ciotka. W katolickim domu czytano polskie książki i uczono tekstów poetów polskich na pamięć, szczególnie Juliusza Słowackiego, którego nieraz za karę, jak wspominał Dudek, musiał się uczyć. Od najmłodszych lat miał on do czynienia z mową wiązaną, a nawet brał udział w poetyckim konkursie marząc, by zostać poetą.

Wczesnie zarzucił kontakty z grupą polskich emigrantów w Montrealu i wszedł w szersze środowisko kanadyjskie. Co było powodem odejścia, nie wiemy. Bardziej niż rodacy pociągali go intelektualiści i poeci bez względu na ich pochodzenie.

Czuł się człowiekiem bez przydziału do określonej grupy społecznej, najlepszych przyjaciół znalazł wśród bohemy, w końcu stał się nacjonalistą literackim, jak go określił Michael Gnarowski, jeden z jego późniejszych współpracowników o podobnym rodowodzie.

Ponoć po wczesnym spotkaniu z polską literaturą stracił z nią kontakt. No, może po zdobyciu Nobla przez Miłosza znów się o niej dowiedział. Trochę to dziwne, gdyż w domu, w polskiej szkole i kościele miał okazję do chłonięcia polskiej atmosfery szczególnie, że ojciec odgrywał ważną rolę w lokalnej polskiej społeczności a syn miał polskich kolegów zastąpionych później przez francuskich, a ostatecznie przez anglofonów.

Będąc jeszcze dzieckiem czytał “Pana Tadeusza”, „Trylogię” i Słowackiego. Oglądał polskie przedstawienia teatralne, lubił polską muzykę popularną i kolędy, obchodził tradycyjne święta. Trudno mu było później określić wpływ polskiego środowiska na swoją angielską twórczość.

Kto wie, czy odstraszył go wąski nacjonalizm, który uważał za niepożądany, za powiększanie naszego indywidualnego ego poprzez grupową identyfikację. Był zdania, że tylko miernota jest przesadnie nacjonalistyczna, że wielcy ludzie byli obywatelami świata. Wolał samotność od chodzenia w gromadzie. Nacjonalizm był w najlepszym razie laicką formą religijnego idealizmu. Prawdziwą wartość widział w osobowości i pojedynczym człowieku. Nie uważał patriotycznej poezji za prawdziwie wielką, był przekonany, że poeta pisze przede wszystkim o tym, co kocha, czego doświadcza i co doskonali, że idee są słabą pożywką dla poety. Współczesnej poezji, sądził, nie interesuje kolektyw, a tylko jednostka.

Wychowany w polskość cenił bezpośredniość odczuć, otwartość na świat ale także jego obcość. Przyznał, że uważał za polskie dziedzictwo melancholię, uwrażliwienie, liryzm i refleksję, zmienność odczuć, religijne zainteresowania, racjonalizm, radykalizm i niecierpliwość.

Język polski z czasem zaczął w jego życiu ustępować bardziej atrakcyjnemu i ważnemu językowi angielskiemu. W konsekwencji tej fascynacji Dudek zapisał się na anglojęzyczny uniwersytet Mc Gill i uzyskał licencjat z filologii angielskiej i historii.

Po skończeniu studiów miał się różnych zajęć dorywczych związanych z reklamą a jednocześnie poznał młodych poetów kanadyjskich jak John Sutherland, Irving Layton i Raymond Souster, z którymi miał w przyszłości ściśle współpracować. Jałowe zajęcie zawodowe wnet mu się sprzykrzyło, tak że je porzucił i wyjechał do Nowego Jorku, by podjąć pracę i dalsze studia na uniwersytecie Columbia. Tam wszedł w kontakt z amerykańskimi poetami z Ezrą Poundem na czele. Odwiedzał go w szpitalu, w którym go zamknięto, a nawet pomógł w staraniach o zwolnienie go stamtąd. Potem prowadził z nim ożywioną korespondencję i pisał poezję pod jego urokiem.

Macierzysta uczelnia McGill zaprosiła wówczas Dudka do zakładu filologii angielskiej, w którym zaczął pracować jako asystent w 1951 roku i z czasem stał się jednym z najbardziej popularnych i lubianych wykładowców. Nie zaprzestał jednak pracy wydawniczej i wraz z Sousterem zaczął publikować czasopismo "Contact" a kiedy dołączył Irving Layton, powstało wydawnictwo "Contact Press". Przez lat piętnaście ten dom wydawniczy wypuszczał długą serię wybitnych tomów

poetyckich. Wtedy też Dudek drukował własne utwory łącznie z obszernymi poematami eksperymentalnymi,

W latach 1957-66 kierował pismem "Delta" starając się zapełnić je treścią kanadyjską zgodnie z przesłaniem, że poezja musi powstawać w społeczeństwie i wpływać na jego akcje. Spośród poetów, których wylansował wtedy był Leonard Cohen, którego debiut "Let Us Compare Mythologies" rozpoczął poczet nowych poetów kanadyjskich. W 1970 zainicjował wydawnictwo "DC Books".

Mieszkająca wtedy w Montrealu Ewa Stachniak opracowywała audycje polskie dla radia. Zdołała ona nakłonić Dudka, aby nie tylko wystąpił w programie i opowiedział o swoich dokonaniach, ale żeby przemówił do polskich słuchaczy po polsku. Bronił się, tłumacząc że nie znał już dobrze języka, ale w końcu się zgodził i audycja wypadła doskonale. Pamiętny wywiad radiowy ilustrowały moje przekłady dwu jego wierszy, które autorowi się spodobały i pamiętał o nich, kiedy go odwiedziłem w jego profesorskim pokoju w Montrealu. No, ale on słynął z ogromnej uprzejmości i wspaniałomyślności.

Należy może w tym miejscu przypomnieć, że trzy liryki Dudka w swoim przekładzie i z towarzyszącą notą ogłosił w paryskiej "Kulturze" (nr 157-158, 1960) Jerzy Niemojowski, emigracyjny poeta mieszkający w Londynie i wielki zwolennik poezji Ezry Pounda. Pracował on dorywczo w drukarni Oficyny Poetów i Malarzy Krystyny i Czesława Bednarczyków, która wydrukowała trzy tomy poezji Dudka: poemat "Europe" z ilustracjami Krystyny Sadowskiej w 1954 roku, "The Transparent Sea" w 1956 oraz "En Mexico" w 1958 z rysunkami Zygmunta Turkiewicza

Dla mnie nie ulega wątpliwości, że to jednak polskie pochodzenie i związane z nim kultywowanie w domu literatury, a później przykłady wybitnych poetów takich jak Miłosz, utwierdziły Dudka w przekonaniu, że należało coś zrobić, żeby również społeczeństwo amerykańskie i kanadyjskie wspomóc w jego walce o zachowanie wartości kulturalnych, żeby przetrwała poezja i literatura, aby nie pozwolić na ich eliminację przez komercję, by nie były na tym kontynencie tylko towarem. Wspominał, że już jako siedemnastoletni chłopak zauważył nieobecność literatury, a przynajmniej jej niską wartość. To kazało mu o nią walczyć, tak że w konsekwencji całe późniejsze życie profesora, krytyka i pisarza temu zagadnieniu poświęcił, aby

przywrócić jej prymat i godne miejsce w cywilizacji.



Poeci montrealscy: od lewej Irving Layton (1912-2006), Frank R. Scott (1899-1985) i Louis Dudek (1918-2001).

Przy tym był realistą. Rozumiał, że nie wszystko da się uratować, że trzeba się liczyć ze stratami. Wziąłem udział w 1984 roku w ogólnokrajowej konferencji w Ottawie poświęconej językowi, kulturze i tożsamości w Kanadzie. Uczestniczył w niej także Louis Dudek. Wypowiadał się na temat literatur tworzonych na ziemiach Kanady w językach innych niż angielski i francuski, w tzw. językach trzecich, nieoficjalnych, mylnie nazywanych językami etnicznymi. Jego zdaniem, niektóre wybitne jednostki, które emigrowały do Kanady, stanowiły wyjątki przynależały bowiem bezspornie do swojej macierzystej kultury, natomiast przesadzone całe grupy przypominały mu rośliny w doniczkach, rosnące nienaturalnie, będące nie na swoich miejscach. Im

nie wróżył rozwoju ale stopniowy uwiąd. Bo choć Kanada sama też przybyła z Europy, to poprzez kilka stuleci wytworzyła dwa odrębne, ale silne nurty literatury, które się z czasem samookreśliły, a ostatnimi czasy pozyskały również inne dopływy. Taką pierwszą odmienną grupę stanowili pisarze żydowskiego pochodzenia jak Klein, Layton, Richler czy Cohen, którzy zaczęli odgrywać ważną rolę na narodowej scenie. Zdaniem Dudka etniczne kultury zakorzeniają się dopiero wtedy, gdy stają się częścią kanadyjskiego nurtu i uczestniczą znacząco w jego artystycznym rozwoju. Warunkiem niezbędnym jednak jest przyswojenie sobie jednego z oficjalnych języków.

Wysiłek intelektualny i artystyczny tzw. nowych Kanadyjczyków, imigrantów bez filiacji brytyjskiej czy francuskiej, na niewiele by się zdał, gdyby nie potrafili, jak Dudek, opanować mistrzowsko jednego z panujących języków, w jego wypadku, angielskiego. To dzięki niemu mógł on efektywnie polemizować, nie podzielać technologicznego optymizmu Marshalla McLuhana i jego najnowszej iluzji postępu, mógł się spektakularnie nie zgadzać z ewolucją platońskich konwencji uniwersalnej mitologii literatury Northropa Fry'a, potrafił gorliwie propagować literaturę kanadyjską tworzoną w języku angielskim i francuskim, żądał, by jej uczono w szkołach respektując obie tradycje. Biadał nad nieobecnością tego przedmiotu winiąc za ten stan rzeczy nauczycieli akademickich pochodzących z Wielkiej Brytanii i Francji a później Stanów Zjednoczonych. Perswadował, że to zaniedbanie świadczyło o kolonialnej mentalności i niewierze w dorosłość i kompetencję Kanadyjczyków.

Przestrzegał równocześnie przed szowinizmem narodowym, choć doceniał rolę poetów romantycznych, którzy w niektórych krajach spełniali konieczną funkcję społeczną (wymienił polskich wieszczów Mickiewicza i Słowackiego, pamiętanego zapewne z własnego dzieciństwa).

Zakończyła się druga wojna światowa po której na świecie nastąpiły wielkie przemiany społeczne. W Kanadzie odnowa kultury francuskiej i wzrost znaczenia różnych grup społecznych wyzwoliły witalność, która zdynamizowała piśmiennictwo kanadyjskie. Zachwiana została tradycyjna hegemonia klasy średniej, zamiast kultu ograniczonej narodowości wychynęła perspektywa szerszych horyzontów. Żyjąc w Quebecu Dudek był świadkiem niebywałej ewolucji świadomości jego mieszkańców. Francuska Kanada z kopciuszka i obywatela drugiej klasy, doczekała się fermentu

intelektualnego, który zadziwił swoją konstruktywnością i nowoczesnością. Nowe swobody i powszechne wzbogacenie wywołały euforię. Quebec udowodnił, że zdołał pokonać nie tylko rodzimą reakcję, ale także przeciwstawić się angielskiej Kanadzie, jako źródłu wszelkich swoich nieszczęść i problemów.

Jednak przed takim zawężeniem widzenia Dudek ostrzegał, przed dążeniem do konfliktu, utratą uświęconej energii na rzecz ciemnych sił mogących przynieść chaos. Uważał zabawy separatystów za igranie z ogniem. Wzywał do obrania innego kierunku i pielęgnowania wizji wielkiej Kanady, bogatej w dwa języki dające nieskończone możliwości artystycznego rozwoju.

„Zanieśmy bogi do nowego Lacjum” wołał. Ufał nowym, młodym pokoleniom, pełnym świeżej energii pozwalającej na rozsądzenie zmurszałych form. Prawdziwą drogę do wolności i ładu w przyszłości widział przy współdziałaniu sztuki i poezji. Tylko wyobraźnia, odkrywanie istoty człowieka i jego relacji w świecie i wobec innych ludzi były, jego zdaniem, zdolne uratować przed zniewoleniem przez państwo, wyparciem przez maszynę i pogrążeniem w już się powszechnie szerzący upodlony tryb życia. Wzywał do przeciwstawienia się siłom niweczącym życie.

Dychotomia barbarzyństwa i cywilizacji pojawia się wśród jego częstych tematów. Poeta obawiał się zalewu pospolitości, która się wciska na każdym kroku w nasze gusta. Hołdujemy bieganiu za dobrami materialnymi zamiast walczyć o rolę sztuki. Zagroza nam barbarzyństwo. Nowy Świat może wypracować nową cywilizację lub stoczyć się w barbarzyństwo. Nowoczesna poezja może stać się barbarzyńska, albo dążyć do większej sublimacji, do pełniejszej ludzkości lub popaść w zdziczenie. Ostrzegał, że to, co się rodziło we współczesnej sztuce to, niestety, zbyt często krzyk, prowokacja, nienawiść, hałas, podczas kiedy cywilizacja zamiera, gdyż poniechała szukania ideałów ludzkich.

Już w 1946 roku Dudek wydrukował zbiór wierszy lirycznych „East of the City” poświęcony rodzinnemu miastu, ale dopiero doświadczenia amerykańskie i bliskie kontakty z Ezrą Poundem natchnęły go do napisania długich poematów, „Europe”, „En Mexico”, „Atlantis” i „Continuation”

Jego duży poemat „Europe”, składający się z 99 członów, jest Dudka fizyczną i artystyczną podróżą do korzeni, by rozliczyć się z domem i puścizną ojców. Poeta

jadąc do Europy pielgrzymuje do źródła cywilizacji, ogląda Anglię, Francję, Rzym i Grecję. Początkowe zachwycenie magicznym miejscem ulega wnet rozczarowaniu. Rzeczywistość ukazuje odmienną twarz. Przezierają znamiona upadku i rozkładu. Dzisiejsze życie ekonomiczne niszczy to, co było najcenniejsze. I to go boli. Z każdego kraju poeta wyjeżdża rozczarowany. Ogląda Rzym i Grecję, gdzie wszystko się zaczęło. Nic go tam nie zatrzymuje. Postanawia więc wracać. Do Ameryki, do Kanady. Wszystko przecież może się znowu zacząć w Nowym Świecie. Podróż pokazała stagnację powojennego życia Europy, jej ruinę i upadek. Tam nie należało szukać przyszłości, ale w Ameryce, która może być odrodzeniem i kontynuacją marzeń człowieczeństwa, gdzie idea rozwoju ma większą swobodę, czucie, szerszy oddech. Wypatrujący nieskończonego widnokągu, niedoceniony modernista kanadyjski, który przedkładał intelekt nad emocje, a potem schronił się w lakoniczność aforyzmu, zmarł 22 marca 2001 roku, do końca wierny, niestrudzony bojownik o rolę sztuki w życiu człowieka. Jego uczelnia ustanowiła doroczną nagrodę jego imienia za wybitność w nauczaniu, władze kanadyjskie odznaczyły go Orderem Kanady, zamkniętą twórczość poetycką i krytyczną zostawił rzetelnej ocenie przyszłości.

Louis Dudek

Europa 31

Nieuk współczesność bazgrała po przeszłości w Winchester;

amerykański błazen

rysował na dźwierzach

mówiąc "bla, bla" temu

prostokątnemu, dumnemu angielskiemu gotykowi.

Najpierw nie było nic, początki

były najtrudniejsze, potem, to co zrobili

było z tego co zaczęli.

Obojętnie. Teraźniejszość uformowana jest z pierwszych

obrobionych kamieni,

od Stonehenge do tego oto.

Wypisali swoje inicjały

obok umarłych. Nowi Anglicy

i Amerykanie błaznią się na złotych dźwierzach.

Wewnątrz same kwiaty

i żłobkowane łodygi,

“Muzyka” powiedziałaś, i “Nie do wiary”,

ja powiedziałem,

że to z kamienia”, takie splątane

stawy

z białej kości, i strasznej czarnej

średniowiecznej magii.

Ale nie ma nic

Ale to nic w dodatkach z 19 wieku:

ostatnie rzeźby cmentarne

przy starszej, surowej, normandzko gotyckiej

co nie starała się być piękna.

Tylko wierna.

Wierna czemu? Spójrz na moment
na wstrząsający grobowiec Richarda Foxa
pokazujący jego ciało
poszarpane cierpieniem i śmiercią,
by ci powiedzieć
- nie bądź nadto beztroski, nawet jeśli Bóg
nie jest szczególnie ważny,
pozostają kości, one są katedrą.
Lecz kilku turystów
nabazgrało nazwiska
na piersi Richarda Foxa
w miejscu gdzie szkielet przebija skórę.
Niech te dodatki zostaną
w Winchester.
Może czas pokaże
że takie błazny, jak rzeźbione zwierzęta
należą tam mimo wszystko.
Nie miałyby kamienia
na którym mogłyby tak wyraźnie pisać, gdyby nie ofiarowała im śmierć
swej kościstej piersi.

Dżungla

*Czas ma swe kresy i swoje początki
koniuszek liścia i łodyga, skóra i wątroba-
przez które idzie tętno
bębnienia w ciszy dżungli,
gdzieś w drzewach krzyk
dzikiego ptaka dartego szponami
gdzieś wielkie koty parzą się , rycząc
z bólu, może z rozkoszy,
a cisza nie ma końca, słuchając bębnów
dzień po dniu o nowym początku
dzień po dniu udręka, może przyjemność
ale ponad tym niezmaczona biel nieba
czekająca nad światem, aż ustanie ruch
i wchłoną go fałdy jego morza
pogrąży się w przestrzeni, gdzie wszystko co było
to dźwięk w głuchym uchu, lęk w zapomnianym śnie.*

Epigramy

Niedawno temu mieliśmy pokolenie, które miało zbawić świat, ale nikt nie umie powiedzieć, co się z nim stało.

*

Dwa niewypały w komitecie potrafią przegłosować każdego geniusza.

*

Seks jest najtańszą formą twórczości.

*

Komputery mogą zastąpić człowieka, ale nigdy nie zastąpią kobiety.

*

Porady małżeńskie przed małżeństwem zapobiegłyby wielu małżeństwom.

*

Nie martw się, że wyglądasz staro. Ciesz się, że jeszcze wyglądasz.

*

Porażka jest dobrą zaprawą do sukcesu.

*

Wielki człowiek jest wielki tylko z odległości.

*

Marksowi się wszystko pomieszało. W miarę jak państwo staje się silniejsze, komunizm obumiera.

*

Zazdrość bardzo pochlebia, ale nie zawsze jest zasłużona.

*

Nuda powinna być krótka, bo życie nie jest długie.

*

Gdybyśmy znali prawdę o przyjaciółach, życie byłoby nie do zniesienia.

*

Większość ludzi zabija się, by związać koniec z końcem.

*

Można czuć się bardziej swobodnym z umarłymi, niż z żywymi.

*

Są jeszcze części Kanady w posiadaniu Kanadyjczyków, ale są one zbyt rozproszone, by tworzyły państwo.

*

Tylko hedoniści żałują, że życie jest krótkie.

*

Rewolucja jest dobra, póki nie zwycięży.

*

Ludzie, którzy szybko się nudzą, są albo ogromnie inteligentni, albo nie bardzo inteligentni.

*

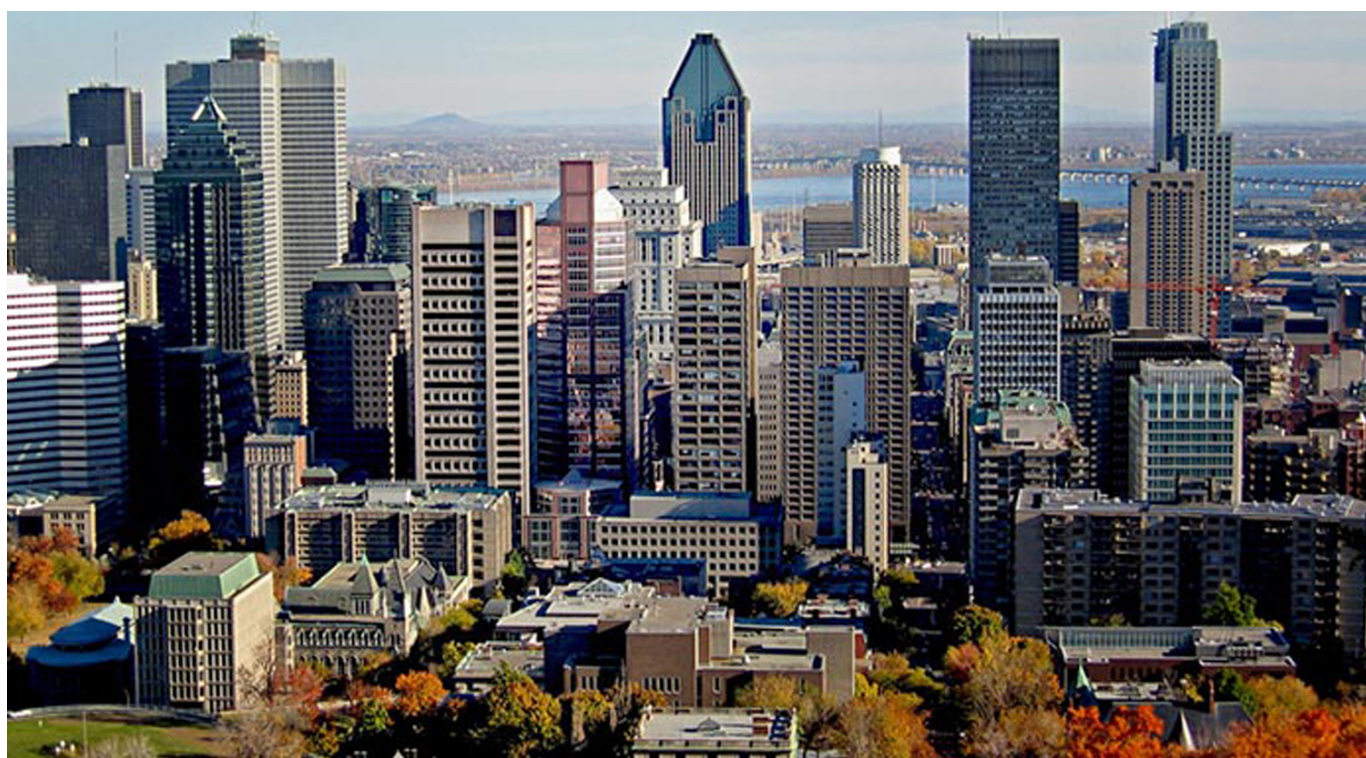
Nieporozumienie jest siłą twórczą w historii i w życiu jednostki.

*

Sława to tylko przywilej pozwalający obcym trapić człowieka.

Przełożył Florian Śmieja

Konieczne kłamstwa (fragm.)



Montreal

Ewa Stachniak

Przełożył Zbigniew Stachniak

Część I: Montreal 1981

Piotr powiedziałby, że Anna zdradziła Polskę już wtedy.

Nie miałyby na myśli tego, że zauroczyła się komfortem Kanady, przepastnymi supermarketami przepełnionymi jedzeniem, błyszczącymi światłami montrealskich biurowców, które z taką dokładnością opisywała mu w swoich listach. Nie chodziłoby mu nawet o to, z jaką łatwością zachwycała się nawet najdrobniejszymi błahostkami. Życzliwym uśmiechem mijanych na ulicy nieznamytnych. Samochodami zatrzymującymi się na przejściach dla pieszych. Wypielęgnowanymi trawnikami nawilżanymi szemrzącymi kaskadami wody. Mężczyzną na ulicy Sherbrooke, który pochylił się by sprzątnąć po swoim psie.

Piotr powiedziałby Annie, że symptomy jej zdrady były o wiele bardziej wyraźne i daleko bardziej niepokojące. Powiedziałby, że pozwoliła, by strach zakradł się w jej serce. I miałyby rację.

To, że Anna znalazła się w Montrealu było czystym przypadkiem. W Polsce uczyła literatury angielskiej na wrocławskiej anglistyce. Starła się o stypendium do Anglii, chciała studiować literaturę emigracyjną, ale jej podanie ugrzęzło w kolejce. Kanadyjskie stypendium było niespodziewanym darem losu.

—Będzie Pani musiała wyjechać pod koniec sierpnia—powiedziała sekretarka dziekana, która niespodziewanie zadzwoniła do Anny późnym wieczorem. —Oni zaczynają rok akademicki we wrześniu.

Piotr obserwował Annę siedząc w fotelu, z uniesionymi brwiami. Rozłożyła ręce, w geście pełnym zaskoczenia.

—Ktoś coś pokręcił—usłyszała w słuchawce. —Dostaliśmy pilny telefon z Ambasady kanadyjskiej. Potrzebują kogoś z humanistyki. Na wczoraj. Chce Pani jechać?

—Chcę—powiedziała.

Sześć miesięcy w dobrej bibliotece było kuszące. —Jakiegokolwiek dobrej bibliotece—powiedziała do Piotra, który przyciągnął ją ku sobie. Czowała jego palce drążące tunele w jej gęstych włosach, pieszczące jej szyję, ramiona. Anna w milczeniu rozważała argumenty. Choć miała dwadzieścia osiem lat, nigdy w życiu nie była na Zachodzie. Nawet gdyby udało jej się zaoszczędzić tylko sto dolarów, to i tak byłoby to więcej niż jej całoroczna pensja. No i ta zwykła potrzeba odpoczynku, kilka

miesiący oderwania się od rzeczywistości kolejek, strajków, protestów. A poza tym to tylko pół roku, w lutym przecież będzie z powrotem we Wrocławiu. Zdąży na początek drugiego semestru.

Piotr szeptał jej imię. —Jedź—szeptał. —Jedź. Krawędź fotela uciskała jej biodro. Dotyk ust Piotra łaskotał, rozśmieszał. Będzie po prostu za nią tęsknił. To wszystko.

—A może pojedziesz ze mną—spytała, wiedząc dobrze, co odpowie. —Teraz? Kiedy wszystko miało się rozstrzygnąć? Gdy los Polski wisi na włosku.

[Strony: 31-33. Anna w Montrealu. Spotkanie z Williamem.]

U wejścia do holu Klubu uniwersyteckiego McGill, wyłożonego drewnianą boazerią, dostała naklejkę z napisem: Anna Nowicka, Polska. Gość Wydziału Anglistyki Uniwersytetu McGill. Uczucie niepewności wyparowało bez śladu. Zdziwiła ją łatwość, z jaką nawiązywano rozmowy. “Pomyślałem, że mógłbym do Pani podejść i przywitać się,” wystarczyło w zupełności.

—Niestety, mój mąż nie mógł ze mną przyjechać—odpowiadała na częste zapytanie. Uzyskanie dwóch paszportów byłoby raczej trudne, a, co ważniejsze, Piotr nie mógł tak po prostu wyjechać. Wykładał prawo cywilne na uniwersytecie wrocławskim. Był doradcą prawnym lokalnego oddziału Solidarności. Oczywiście jej wyjazd bez niego nie był najlepszym rozwiązaniem, ale cóż innego pozostawało.

—Dziewczyna z Breslau! —To był głos Williama, głos pełen zachwytu. —Z jakiego miasta Pani przyjechała?—zapytał. —Z Wrocławia—odpowiedziała, przygotowana na konieczność wyjaśniania przesuniętych granic powojennej Europy, historię ziem utraconych i odzyskanych, historię, w której niemieckie miasto stało się polskim. Ale William nie prosił o wyjaśnienia.

—Dziewczyna z Breslau—powtórzył. —Co za zbieg okoliczności!

—Z W r o c ł a w i a—zaprotestowałyby jej mama, każda sylaba jak rytmiczne uderzenie w bęben. W R O - C Ł A W. Tak by to właśnie powiedziała. WRO - CŁAW, jej twarz zastygła w grymasie nieufności.

William zmrużył oczy z zadowolenia. Uśmiechnął się. Miał na sobie czarny golf, na

nim rozpiętą koszulę. Żółte i czerwone plamy kolorów splatały się na niej jak wirujące wstążki zręcznie manipulowane ręką zonglera. Patrząc na jego równo przyciętą brodę myślała o piórach jakiegoś rzadkiego, srebrnego ptaka. William przyniósł jej lampkę wina. Anna czuła jak kształt nóżki kieliszka odciska się na jej palcach.

Wiedziała, że mu się podoba, widziała to w jego niebieskich oczach, w jego uśmiechu, potęgującym się nienasyceniu widokiem jej loków, każdym ruchem jej głowy. Jak gdyby z każdym najprostszym gestem udawało jej się osiągnąć coś naprawdę niezwykłego. Coś wyjątkowego, czego nikt inny, nigdy przedtem, nie osiągnął.

—A więc Pan wie gdzie to jest—zapytała, odgarniając włosy spadające jej na twarz.

Dnie były nadal upalne. Anna miała na sobie luźną sukienkę, którą kupiła w hinduskim sklepie na ulicy St. Laurent. Czarna bawełna, z fioletowymi plamami w kształcie spadających liści.

—Dziwi to Panią?

—Tak.

—Urodziłem się tam—powiedział. —Oczywiście wtedy był to jeszcze Breslau. Tak więc, w rzeczywistości, pochodzimy z tego samego miasta.

Bawiła się koralikami, które wplotła tego dnia we włosy, obracając je w palcach i puszczając. Myślała o swojej starej fotografii: drobna dziewczęca postać, biała sukienka, aureola jasnych włosów.

Na tym starym, czarno-białym zdjęciu trzyma rękę mamy. Za nimi ruiny Wrocławia; zwały gruzu wysypujące się na ulicę. Stosy cegieł, niektóre nadal zespolone zaprawą, strzaskane płyty betonu i granitu. Morze ruin otaczające wysepki stojących jeszcze domów. Powykręcane sterczące pręty w betonowych blokach, w byłych fundamentach. Spękane mury domów z obnażoną trzcinową siatką, jak z zastygłymi żyłami pod martwą skórą. Wypatroszone domy z wypalonymi ścianami, z wyraźnymi bliznami po nie istniejących już balkonach. Odsłonięte wnętrza byłych pokoi—salonów, sypialni, gabinetów—zdradzały teraz gusty byłych mieszkańców,

mozaiki zieleni i błękitu, tapety lub malowane ściany. Ulice poryte wybuchami. Leje po bombach z koronami uwieńczonymi uliczną kostką i spękanymi, granitowymi płytami chodników. Ulice prowadzące do nie istniejących osiedli, gładkie stalowe szyny tramwajowe wiodące w ruiny zarośnięte trawą i chwastami.

—To jeszcze nic takiego—wspominali rodzice Anny. W 1945 roku, tuż po ich przyjeździe do Wrocławia, bali się przechodzić obok opuszczonych domów, obok ruin i popiołu. Miasto było puste, tak przeraźliwie puste, że widok dziecka idącego ulicą napełniał im oczy łzami. Wrocławskie dzieci, pierwsza, niepewna zapowiedź stabilizacji. Kiedy Anna się urodziła, zabytkowe kamieniczki wrocławskiego Rynku były już odbudowane, ich fasady pomalowane na biało, beżowo i jasno-żółto. Kiedy Anna była już na tyle duża, że rodzice mogli ją zabrać na dłuższe spacerunki wokół gotyckiego Ratusza z jaskrawo pomalowanym zegarem słonecznym lub na Ostrów Tumski wzdłuż katedry z majestatycznymi wieżami, można było niemal uwierzyć, że wojna przeszła gdzieś obok.

....

[Anna zakochuje się w Williamie, z wzajemnością. Postanawia odejść od Piotra, zostać w Kanadzie i rozpocząć nowe życie. Dzwoni do niego na początku grudnia, raniąc go boleśnie. W kilka dni po tej rozmowie, w Polsce wprowadzony jest stan wojenny. Piotr jest internowany. Mimo wahań Anna rozwodzi się z Piotrem i wychodzi za mąż za Williama.]

Część II: Montreal 1991

[Dziesięć lat później. William umiera nagle na zawał serca. Anna idzie do jego biura na montrealskim uniwersytecie McGill, by uporządkować pozostałe po mężu papiery.]

str. 96-104.

W teczce "Osobiste" Anna znajduje grubą, zaklejoną kopertę. Rozrywa ją. Z koperty wysypują się na biurko listy, kartki pocztowe i fotografie. Na tych fotografiach, robionych w krótkich odstępach czasu, wyraz twarzy Williama zmienia się od tego charakterystycznego dla niego zamyślenia do uśmiechu. Ubrany w czarny golf i

brązową marynarkę z tweedu, którą Anna tak zawsze lubiła, pochyła się do przodu, jak gdyby starał się przekonać kogoś o czymś niezmiernie ważnym. Na ostatniej fotografii srebrny lok włosów opada mu na czoło, zatrzymana chwila, po której ten lok może jedynie odgarnąć.

Kartka z Baden-Baden—stara, słodka widokówka, wieńce z kwiatów. Z radośnie bijących dzwonów wylewają się nuty. Pismo jest trudne do odczytania, litery wysokie i ściśnięte. Mija kilka chwil zanim Anna wyłowi sens w tych ostrych linijkach pisma, odróżni jedno słowo od drugiego. *L'absence est à l'amour ce qu'est au feu le vent, il éteant le petit il allume le grand.* Podpisane: Urszula.

Otwiera małą niebieską kopertę i wyciąga z niej złożoną kartkę papieru. Jej serce zamiera na moment by ruszyć gwałtownie, tłocząc pospiesznie krew do twarzy. Papier drży w jej rękach.

Kochanie. Tak pusto tu bez ciebie. Echo dzwoni w pokojach, odbija moje kroki, ale Twój głos dociera do mnie zewsząd. Udaję, że wyszedłeś na chwilę i że zaraz wrócisz, jak dobry mąż, który wyjechał w krótką podróż. Czuję się Twoją żoną w najgłębszym znaczeniu tego słowa. Czegoż więcej nam potrzeba? Urszula

Kolejna kartka papieru, złożona we czworo szeleści, gdy ją otwiera. Bez daty.

Przyjechałam późno. Mieszkanie zimne i ciemne, bo przed wyjazdem obniżyłam termostat. Moja pruska oszczędność, skąpstwo mojej duszy. Wczołgałam się do łóżka myśląc o Tobie. Dziś nie chcę z nikim rozmawiać, bo zagłuszyłabym Twój głos. Urs.

Niech więc będzie Londyn. Zjemy kolację w Hotelu Durrants, a potem przejdziemy się George Street i będziemy się całować. Musisz mnie zdobywać. Proszę o wstążkę i grzebień. I zabierz mnie do muzeum figur woskowych, gdzie będziemy śmiać się w nieruchome twarze. Będziemy się kochać i pić okropnie mocną herbatę (oczywiście najpierw wlewając mleko) i będziemy tak brytyjscy jak tylko Niemcy mogą tego pragnąć.

Anna siada, nogi nie są w stanie utrzymać ciężaru jej ciała. Wyczuwa czyjąś obecność, czyjś dotyk na ramieniu. Obraca głowę, ale widzi tylko puste półki, które przed chwilą opróżniła z książek. Nie ma na nich nic poza szarym kurzem. To

nieprawda, próbuje przekonać samą siebie. To nie może być prawdą.

—Tylko na kilka dni—pamięta jego słowa. — Muszę być sam. Rozumiesz mnie, kochana? Stała w drzwiach i patrzyła jak pakował brązową skórzaną walizkę. Beżowe sztruksowe spodnie ułożone płasko na dnie, tuż obok starannie zrolowane skarpety. Szetlandzkie swetry złożone w równe kwadraty, puste rękawy wsunięte do środka. Patrzyła, jak zamykał małą saszetkę pachnącą sandałowym drzewem.

—“Bądźcie razem, ale nie zbyt blisko siebie, jak dwie kolumny podtrzymujące kopułę świątyni”—powiedział kiedyś. Sentencja z “Proroka”, jeden z prezentów, jakim ją obdarzył, maksymy lat sześćdziesiątych. Nie odwiozła go. William nie znosił lotniskowych rozstań. Wolał pożegnać się w domu, a ona starała się nie obejmować go zbyt długo, udając zniecierpliwienie, aby ukryć ból. Nie mogła sobie pozwolić na gniew. Na to, by wylał się z niej, wykipiał. —Dzięki Bogu nie jesteś taka jak Marilyn— powiedział jej kiedyś. Zapamiętała każde słowo, którym określał swoją byłą żonę. —Nie ma w Tobie nic z jej mściwości.

Już wtedy myślał o chwili, gdy do niej wróci, wsuwał rękę pod jej sweter, obejmował ją i przyciągał do siebie. —Zadzwoń—szeptał jej do ucha.

Dzwonił. Z Frankfurtu, Berlina, Monachium, jego głos pełen radości i troski o nią. —Tęsknisz za mną, kochana?—pytał. Odpowiadała ze śmiechem, radością. —Rozumiesz mnie, prawda? —Ufała, że rzeczywiście potrzebował kilku dni samotności. Czy naprawdę wierzył, że zaakceptowałaby zdradę? Nie, to niemożliwe. Nie William. To wszystko nie ma żadnego sensu. Nie ma prawa go podejrzewać.

Dziś skończyłam “Twarze kobiet”. Wszystkie zdjęcia są czarno białe. Kolor zacierał tylko te śmiertelne transformacje, które chciałam uchwycić. Nie musisz się niepokoić, kochanie, moje obsesje nie są aż tak łatwe do rozszyfrowania. Nazistki są obecne jedynie duszą, w spojrzeniach pełnych poddania, fanatyzmu i samozniszczenia. Te twarze są wszędzie. Wystarczyło kilka wieczorów w berlińskich barach. Lothar nic nie powiedział, tylko objął mnie mocno. To była najlepsza recenzja, jaką dostałam. Po wystawie, idę Ku-damem, wciąż patrząc na twarze. Hałaśliwe Disco wylewa się ze sklepów na ulicę. Młode dziewczyny noszą obcisłe bluzki i džinsy, balansując na wysokich koturnach. Nastolatki mają donośne głosy i odważne spojrzenia. Ja, jak zwykle w takich momentach, jestem pusta i obolała. Zbyt

łatwo zajmuję się głupstwami, poddaję się chwilom bez znaczenia.

Anna zdejmuje okulary i zamyka oczy. Powieki bolą i swędzą, jak gdyby posiekane tysiącem drobnych, niewidocznych spękań. Wie, że ból można tylko przeczekać. Ale palce nadal trą nabrzmiałe powieki, aż do łez, aż na wilgotnych palcach pojawiają się wydarte rzęsy. Kiedy wreszcie otwiera oczy, ściany zatraciły swoją geometrię, stały się widmem kolorów, sufit—białą jednolitą przestrzeń, bez skazy, bez końca.

Kochany! Nie! Żadnych żalów. Żadnych! Budzę się wieczorami i oglądam przez okno światła Berlina, udaję, że jesteś tu ze mną. Chce mi się morza—zimnego, zielonego, pachnącego wodorostami i mokrym drewnem. Pragnę ucieczki od tej ciągłej gorączki. Mówisz mi, że zapominam o rzeczach istotnych, zastępując je ekstazą i rozpaczą. Słucham Cię. Czasami. U.

Twarz Anny jest rozpalona. Przykłada ręce do rozognionych policzków. Coś musi się teraz wydarzyć, jakieś konieczne następstwo tych odkryć, coś, co je wyjaśni i uwolni ją od nich. Na korytarzu słysząc odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, czyjs głos wznoszący się i gwałtownie opadający, uciszony, nagle ucięty. —Tak, tak—słyszysz. —Bardzo mi przykro— Anna uświadamia sobie, że Valerie musiała wkładać te listy do skrzynki pocztowej Williama; przez lata musiała obserwować jak wyciągał je z niecierpliwością i spieszył do swojego biura by je tam otworzyć.

Wstaje i robi kilka kroków. To niesprawiedliwe, myśli. Nie teraz. Nie teraz, gdy William nie żyje, gdy nie może nic wyjaśnić. Ponownie siada przy biurku.

Kochanie. Twój głos brzmiał smutno i tak jakoś błagalnie. Przepraszam, że miałam tak mało czasu. Zadzwoniłeś w trakcie sesji. Próbowalam oddzwonić później, ale wyszedłeś już z biura. Nie, nie jest mi wcale łatwiej. To, że akurat ja to powiedziałam wcale nie znaczy, że to jest tylko i wyłącznie moja decyzja. Istnieje historyczny dowód na to, że będąc razem skończylibyśmy rzucając się sobie do gardeł, że splotęlibyśmy w nienawiści, więc nie próbuj zmienić mojego postanowienia. Być może pojawię się w Montrealu w przyszłym miesiącu, chciałabym sfotografować twarze podczas waszych kanadyjskich narodowych parad, progres quebeckiego Referendum, więc nie dąsaj się na mnie zbyt długo. Powiedz mi raczej, co Twój wspaniały, niewinny kraj robi, gdy się zacznie rozpadać na kawałki. "Je me souviens?" Czyż nie te słowa widnieją na tablicach rejestracyjnych Waszych

samochodów?

Referendum w Quebec. To na długo przed jej przyjazdem do Kanady. Oczywiście! Te listy były pisane zanim jeszcze poznała Williama. Okruchy czasu, do których Anna nie ma żadnych praw. William miał kochankę, wnioskuje Anna, kiedy był jeszcze żonaty z Marilyn. Nie powiedział jej o tym. Nie chciał, by myślała, że jest zdolny do zdrady. To przemilczenie jest bolesne, ale w gruncie rzeczy zupełnie zrozumiałe, można nawet pomyśleć, że jest pewną formą dyskrecji. Ona też nie opowiadała mu aż tak dużo o Piotrze.

Październik, 1979. Czerń jest jak trucizna, wysysa kolor, a ja poddaję się jej powoli. Najpierw odpływa nadzieja, potem opuszcza mnie energia. Siedzę i patrzę na ściany pokoju, czekając aż ten stan mnie opuści. Czekam aż dzięki boskiej pomocy nastanie nowy początek, któremu się poddam, aby powstać i zacząć od nowa.

Do niektórych listów doklejone są artykuły wycięte z magazynów. Złożone, pożółkłe na brzegach. Po niemiecku, po angielsku. Anna odkłada je na bok, z niecierpliwością. Będzie dosyć czasu, by je przeczytać. Teraz potrzebuje potwierdzenia.

Styczeń 1980. Nie, nie było tak źle. Mała potyczka między twórczością a zwątpieniem. Nie masz powodu do obaw. Zanurzam się w takie dni bez oporów i wynurzam się silniejsza. Niebo ma kolor szafiru, a wiatr wciska się w pory skóry. Wślizgnęłam się do tego małego kościołka, tuż za rogiem. Futra pachniały kamforą, słuchałam pastora, który miał złoty ząb i z lekka seplenił. "Jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków." Niewiele nadziei na zmiany, nicht wahr? Dziś obudziłam się pełna postanowień. Jak więźniowi, wystarczy mi łyżeczka do herbaty do kopania tunelu. Jak się uda, pozbędę się wykopanej ziemi, piasku i kamieni.

Marzec 1980. Przeszłam dziś wzdłuż Muru. Po wschodniej stronie drzwi i okna mieszkań wychodzących na Zachód są zaślepione. Berlin to przecież podzielone miasto; a nasze niemieckie metafory są solidne, z uzbrojonego betonu. Strażnicy po wschodniej stronie gotowi są strzelać i zabijać. Odważni nadal kopią tunele, uciekają kulom. Ci, którym uda się dotrzeć na naszą stronę, a czasami widzę ich w naszych barach, zapijają się do nieprzytomności, rzucają oskarżenia prosto w nasze twarze. Dla nich jesteśmy zimni, niewrażliwi, i naiwni. I nic nie rozumiemy.

Anna sprawdza pieczętki pocztowe, wiele listów nie ma daty. Przypomina sobie, że William trzymał szkło powiększające w jednej z szuflad biurka. Jest tam jeszcze, w czarnym skórzanym futerale. Przypatruje się uważnie zamazanym cyfrom. 1980, 1977. Luki w korespondencji, ale to tylko złudzenie, bo brakujące listy się odnajdują, przemieszczone jedynie, niezauważone. William znał Urszulę od wielu lat.

—Fotograf z Berlina, znajoma—powiedział kiedyś. Przez całe miesiące “fotograf” nie miał imienia, a Anna nie zapytała.

Podczas innej rozmowy padło imię, Urszula. Wspomniał je któryś ze znajomych Williama. Chyba Malkolm. Zapytał o przyjaciółkę—fotografa z Berlina. —Masz na myśli Urszulę? —zapytał William. —Kogo? —powiedziała Anna, a on powtórzył—Urszulę, no przecież wiesz, ta znajoma z Berlina, o której ci wspominałem.

W jego głosie wyczuła lekkie drżenie. Znak, że dźwięk jej imienia sprawiał mu przyjemność.

—Zupełnie zwariowana—dodał. —Nie potrafi się oszczędzać.

Wiele z tych listów pisanych jest ręcznie. Anna rozszyfrowuje je powoli, porównując kształty liter, zgadując słowa. *Życie jest zbyt krótkie by trawić je na małostki - czyta. Kocham Cię naprawdę, mimo że jesteś taki niecierpliwy. - Czyta teraz pobieżnie, szukając zmiany tonu, oznak gasnącej miłości zamieniającej się w przyjaźń.*

Wrzesień 1981. William, co się dzieje z naszą miłością? Osłabia mnie, ulizuje. Snuję się dniami z uśmiechem samozadowolenia i wszędzie widzę Twoją twarz. Łapię się na tym, że powtarzam Twoje słowa. Podśpiewuję, podskakuję z radości. Nie wpadaj zaraz w samouwielbienie. To widok raczej żałosny. Właśnie dlatego proszę Cię, byś nie przyjeżdżał. Nie gniewaj się. Nie stracisz mnie nigdy. Po prostu pozwól mi poodychać przez chwilę, a będę Cię za to kochać jeszcze bardziej.

Październik 1981. To nasze dusze, kochany. Nie mogą zapomnieć tych innych możliwych żywotów, których mogłyby doświadczyć. Przeraza mnie jak wiele musimy odrzucić, aby dokonać wyboru.

Październik 1981, Polka i emigrantka, William? Czyżby jeszcze jeden z Twoich

gestów zadośćuczynienia?

Ból wargi. Dopiero po chwili Anna uświadamia sobie, że to jej zęby wbiły się głęboko w wargę, przecinając skórę. Na palcach, którymi przed chwilą dotknęła ust ślady krwi. Przez dłuższą chwilę patrzy na poplamione palce, zanim je wytrze. Tłumaczenia nie mają już sensu. —Idiotka—mówi na głos. —Skończona idiotka!

Słyszy głos matki. —Czego oczekiwałaś? Od Niemca?

Każda data na liście jest jak smagnięcie biczem. —Do samego końca—Anna powtarza, z niedowierzaniem. —Do samego końca.

Maj 1987. Nigdy nie obiecywałam, że będę wierna, i nigdy nie dopraszałam się o Twoją niepodzielną uwagę. Wiem dobrze, że nigdy nie przyznasz się do zazdrości. Jak zwykle będziesz się dąsał i będziesz starał się mnie ukarać tymi swoimi śmiesznymi gierkami. Och, jak mogę sobie pozwolić na taką bezpośredniość. Przepraszam! Biedny mały Willi. Czyżbym raniła Twoją wrażliwość? Nie wierzę w sekrety i nigdy nie ukrywałam Twojego istnienia przed nikim w moim życiu. To Ty udajesz, że przeszłość można oddzielić od przyszłości, a ja Ci na to pozwalałam. Daj mi więc spokój i oszczędź mi tych swoich kazań.

Marzec 1989. Nie gniewaj się. Obudziłam się dziś w tragicznym nastroju, pełna rozpacz. Popatrzyłam na moje ostatnie zdjęcia. Są do niczego. Fałszywe, wymuszone. Zbyt naiwne, zbyt czyste. Okropność! Dobra fotografia jest jak przepowiednia, czyż nie tak? Powinna uchwycić coś z przyszłości, więc trzeba się spieszyć, bo czas zbyt łatwo zamienia takie przepowiednie w banał. Więc spieszę się jak głupia, gonię za każdą intuicją.

Styczeń 1990. Kiedy wracałam do Berlina, widziałam wschód słońca. Rozciągał się po niebie, różowy i czerwony i złoty. "Wstążka po wstążce." Pamiętasz kochany? Może masz rację, może nie jestem aż taka silna jak mi się wydaje. Zadzwoiłam do Lothara. Przyszedł i pozwolił mi mówić o Tobie, bez końca. Zrobił mi herbatę i skończyliśmy tę butelkę brandy, którą zostawiłeś. Nie byłam w stanie wypić jej sama.

Listopad 1990. Więc to już za tydzień. W Monachium. Na mojej mapie świata zaznaczam czerwoną flagą wszystkie te miasta, w których spotykaliśmy się. Zaułki

miłości. Mapa jest całkiem czerwona. Trzy noce i trzy dni. Nie mogę się doczekać.

Anna otwiera koperty, białe, niebieskie, różowe. W niektórych znajduje zasuszone kwiaty, które kruszą się pod jej palcami. Są też kawałki płótna, drobne drzazgi poszarzałego drewna. Po krótkich notkach następują długie listy, wycinki z gazet, całe strony z zakreślonymi przez Urszulę miejscami, upstrzone wykrzyknikami. Większość listów nadanych w Niemczech. *Mit Luftpost*, informują niebieskie naklejki, przez *Deutsche Bundespost*, ale są też listy pisane na szaroniebieskiej papeterii Hotelu Intercontinental w Genewie, z jej dwujęzycznym ostrzeżeniem: *L'expéditeur de cette lettre n'engage pas la responsabilité de l'hôtel*. Hotel nie bierze odpowiedzialności za treść listu. Anna nie zważa już na chronologię listów, wybiera je losowo, małe skrawki miłości, którą William tak dobrze przed nią ukrywał.

Mama przyjechała na kilka dni i oświadczyła, że muszę jej pozwolić wyremontować moją łazienkę. Kurki ciekły a ona westchnęła w ten swój śmieszny sposób. —Moja kochana córeczka! Niepraktyczna, nieodpowiedzialna, podstrzelona. Pije i pali bez umiaru. Kocha bez umiaru. Nie oszczędza się. Za dużo oddaje innym.

Powiedziałam, że może zrobić, co zechce z tą moją łazienką — co za błąd! Pojechałam na kilka dni do Paryża, a po powrocie zastałam ten różowutki cud. Umywalka i wanna są w kształcie odwróconych muszli. Jedna ściana to olbrzymie lustro, druga pokryta różowymi kafelkami — na co szesnastym, białe muszelki. Policzyłam, więc wiem. Podłoga jest biała, beznadziejny pomysł, bo widać na niej każdy włos. Kupiła mi też całą stertę różowych i białych ręczników, grubych i miękkich. Tylko kurki są ciekawe. Styl Bauhaus, mosiądz, miłe w dotyku. Spodobały Ci się. Mama odjechała bardzo z siebie zadowolona, a ja, w grzesznym upojeniu, nalałam tych jej truskawkowych, kąpielowych płynów do wanny-muszli i moczyłam się tak długo, aż opuszki palców przypominały suszone śliwki. Próbowałam do Ciebie zadzwonić, ale już poszedłeś do domu, więc zamiast rozmowy marzyłam o Tobie.

Kochany! Nasza miłość jest tylko dlatego taka silna, że jesteśmy daleko od siebie i że zachowujemy dla siebie tylko to, co jest w nas najlepsze. Spotykamy się pełni tęsknoty, rozstajemy się zanim się nasycimy, zanim dopadnie nas zniecierpliwienie. Kiedy wracam do domu, dziękuję bogom za ciebie i wstrzymuję oddech, aby niczego nie zepsuć. A Ty? Ty starasz się wyobrazić sobie, do jakich granic moglibyśmy dojść,

czym mogłoby być nasze wspólne życie. Ja nie jestem taka odważna. Urs.

Anna zrywa się tak gwałtownie, że przewraca dębowe krzesło. Valerie, sekretarka Williama, musiała usłyszeć hałas za ścianą, bo puka do drzwi. —Wszystko w porządku? —pyta, jej głos pełny zaniepokojenia.

—Tak, wszystko w porządku—odpowiada Anna. —To tylko krzesło. Ja... przewróciło się na podłogę.

Otwiera drzwi i nawet udaje jej się wywołać lekki uśmiech na twarzy. —Nic takiego, powtarza, to tylko krzesło.

—Jestem tuż obok, gdyby mnie pani potrzebowała, Pani Anno. Valerie uśmiecha się i Anna wie, że ją uspokoiła.

—Bardzo dziękuję. — Zamyka drzwi i czeka, aż kroki Valerie oddalą się. Czas ucieka, a tyle jest do zrobienia. Najważniejsze, to wrócić do domu. Tu, na wydziale Williama, jest zbyt wiele osób. Valerie, koledzy. Biuro Malkolma jest tuż obok. Gdyby zaczęła krzyczeć, natychmiast by przybiegł.

Na podłodze leżą przygotowane pudła. WYRZUCIĆ pisze pośpiesznie na kartonowych pudłach czarnym mazakiem pozostawiającym po sobie ostry odór rozpuszczalnika. Opróżnia do pudeł zawartość szuflad, wsypując wszystko, co w nich znajduje. Spinacze do papieru, długopisy i ołówki uderzają o kartonowe ściany. Pineski, nożyczki, zwoje taśmy klejącej. Otwiera kolejne szuflady wypełnione papierami. Opróżnia je do przygotowanych pudeł, garść po garści.

Wkrótce na biurku Williama pozostają tylko dwie fotografie i listy Urszuli. Anna wkłada listy i zdjęcie Julii do koperty i wpycha ją do torebki. Jej własna podobizna na drugiej fotografii denerwuje ją fałszywym wyrazem samozadowolenia, naiwną pewnością siebie.

Pamięta jak kochali się tu, w tym pokoju. Tuż za drzwiami. Kilka tygodni po ślubie, po wycieczce na Barbados, gdzie po raz pierwszy w życiu widziała palmy, gdzie po raz pierwszy kosztowała wilgotne, mięsiste kęsy papai. Wbiegła do tego biura by się z nim zobaczyć, z zaróżowioną twarzą, głosem pełnym podekscytowania.—Kochany, chcę Ci coś pokazać—powiedziała. Już nawet nie pamięta, co to było. Pamięta tylko,

jakże teraz boleśnie, że wstał i zamknął za nią drzwi. Na klucz. —A ja chcę Ciebie—powiedział. Przyciągnął ją ku sobie, jego ręka wędrowała po jej plecach. Przycisnął ją mocno do drzwi i pocałował. Przez chwilę, zanim zamknęła oczy, spojrzała na siebie samą na tej właśnie fotografii, przyglądającą się im w tym właśnie momencie, pewną siebie, szczęśliwą. Czy w tamtej chwili William także myślał o Urszuli?



Ratusz we Wrocławiu, ruiny.

Tekst ukazał się w „Liście oceanicznym” - dodatku kulturalnym „Gazety” w Toronto w 2003 r.

„Konieczne kłamstwa” w polskiej wersji językowej ukazały się w wydawnictwie Twój Styl w 2004 r.